Kraków, 20-go kwietnia 1913 r.

Rok 9 Nr. 8.

Dzwonek.

Gazetka dla dzieci.

Dodatek do „Prawdy“ nr. 16.

Co zając opowiadał Tomkowi.

(Ciąg dalszy.)

— Bo ludzie nie mają tak dobrego węchu jak zwierzęta — objaśniał zając. — Mnie zaś dziwi to tem więcej, że jestem bardzo czystem zwierzęciem i nie mam nic brudnego na sobie, a jednak wszędzie, gdzie stąpnę, moje łapki pozostawiają po sobie jakiś zapach. I to się nazywa „tropem“, ale nie martwię się tem bardzo, bo i inne zwierzęta mają także swój właściwy zapach. A że łasica ma węch doskonały, idzie za moim śladem, dopóki nie dojdzie do mego schronienia. Wiedząc, że mnie ściga ta okrutnica, tak się przerażam, że nie mogę biedz równie prędko, jak biegnę uciekając przed człowiekiem, lisem albo psem. I dlatego łasica mnie dogania i zabija...

— Biedny zajączku! — zawołał Tomek, — Bardzo mi ciebie żal. Widzę, że nie masz tyle sprytu, co inne zwierzęta i dlatego nie możesz wymknąć się nieprzyjaciołom... Szczur schowałby się do nory, i królik także. Nieraz widzę, jak to robią.

— Proszę cię, nie porównywaj mnie z królikiem! — oburzył się zając. — Mam dwa razy więcej rozumu niż on i powiem ci, iż bardzo się mylisz, przypuszczając, że mi brak sprytu, bo ja jestem sprytny, o czem zaraz się przekonasz. Chodź za mną, a pokażę ci miejsce, gdzie leżałem, kiedyś mnie spłoszył. Spojrzyj tylko... Widzisz, jak ślicznie jest tu ugnieciona trawa i wyłożona na boki, tak że tworzy

rodzaj łóżeczka, w którem mogę odpocząć, kiedy jestem zmęczony bieganiem. Zdaje mi się, że to lepsze, niż prosta nora w ziemi: chowanie się pod ziemię uważam za bardzo nierozsądny zwyczaj. Wolę świeże powietrze i myślę, że przyjemniej widzieć wszystko naokoło, niż żyć w ciemnościach. To moje legowisko ludzie nazywają „kotliną", a i tak je lubię, że choć mnie strach stąd wypędzi, powracam zawsze do niego. A wiesz w jaki sposób wracam? Powiedziałem ci już, że każde stąpnięcie moich łapek pozostawia na ziemi właściwy zapach, więc, gdybym szedł prosto do legowiska, każde zwierzę odnalazłoby odrazu moje tropy. Wiesz jakim sposobem potrafię tego uniknąć?

— Nie! nie wiem — odrzekł Tomek po chwili namysłu. — Nie mogę tego zgadnąć, bo przecież musisz wracać do legowiska na swoich nogach i nie możesz fruwać, bo nie masz skrzydeł.

— Nie mogę fruwać, ale mogę... skakać — odpowiedział zając. — Zobacz sam!

I dał kilka tak olbrzymich susów, że zachwycony Tomek zaklasnął w dłonie i zawołał:

— Brawo! Ślicznie skaczesz!

— Kiedy wracam do legowiska — objaśnił zając — skaczę to w jedną, to w drugą stronę, a daję wtedy olbrzymie susy, i ze znacznej odległości wskakuję w kotlinę. Tym sposobem utrudniam lisowi i łasicy odszukanie moich tropów, bo tylko tam pozostaje zapach, gdzie moja łapka dotknie ziemi.

— Rozumiem! — powtórzył Tomek. — Kiedy skaczesz, pozostawiasz daleko mniej śladów, niż gdybyś biegł po ziemi.

— Właśnie! — potwierdził zając.

— I lis albo pies nie może ich tak łatwo znaleźć — dodał Tomek.

— Musisz przyznać, że jest to równie sprytne, jak chowanie się do nory szczura i królika.

— Prawda! widzę, że i ty jesteś mądre zwierzątko! — odpowiedział szczerze Tomek.

— Mam też i inne sposoby ucieczki, kiedy mnie ścigają — mówił dalej zając — a jak poznasz je, jeszcze lepiej będziesz oceniał mój rozum. Szczur przechwala się,

bo jest zarozumiały, o króliku już nic nie powiem, bo to mój krewniak i zawsze żyjemy z sobą w przyjaźni. Ale rozumem to on nie odznacza się w naszej rodzinie...

— Opowiedźże mi o tych sposobach, zajączku — prosił Tomek. — Bardzo ciekawe rzeczy mówisz..

— Mówiłem ci już, jak bronię się przed lisem i łasicą — opowiadał dalej zając — ale to nie są jedyni moi nieprzyjaciele. Mam wiele innych — konie i psy — a najgorszemi mojemi wrogami są ludzie — bez serca, okrutni, którzy wychodzą na mnie ze strzelbą i psem, albo wyjeżdżają konno i, puściwszy zgraję psów albo gromadę chłopców, zwanych „naganką“, pędzą, tropią mnie i bez litości ścigają, dopóki zmęczony, bez tchu, nie padnę na ziemię, gdzie mnie psy zagryzą. Ludzie ci wychodzą lub wyjeżdżają na polowanie w licznem towarzystwie, rozmawiają wesoło, śmieją się i radują, czekając, aż mnie wypłoszą z legowiska psy, albo „naganka“. Czy to nie dziwne, żeby trwoga, cierpienie i śmierć jednego stworzenia były źródłem zabawy i przyjemności dla tylu innych?! Psy szczekają, chłopcy w nagance krzyczą, wywijając kijami, i posuwają się szeregiem naprzód, a ja tymczasem leżę w kotlinie, serce bije mi gwałtownie i cały truchleję z trwogi. Ale naganka zbliża się do mnie, szczekanie psów słychać coraz bliżej — nie mogę dłużej się ukrywać... Zrywam się — i uciekam, żeby uratować życie. Uciekam — ja biedne bojaźliwe zwierzątko, które nie wyrządziło nigdy nikomu krzywdy, a za mną pędzą psy, pędzi naganka, albo gromada jeźdźców z krzykiem i wrzawą. Wszyscy się cieszą i uważają za jakiś wielki czyn bohaterski, gdy udu się im zamordować... bezbronnego zająca!

— A psy w jaki sposób cię prześladują? — zapytał Tomek.

— Jak jakie psy — objaśnił zając. — Jedne, ogary, idą węchem za moim tropem i podnoszą straszliwą wrzawę — inne, charty — nie mają dobrego węchu, ale za to mają bardzo bystre oczy i, kiedy mnie zobaczą, puszczają się szybko jak błyskawica. (Ciąg dalszy nastąpi.)

PORANEK WIOSENNY.

Pobiegnę dzisiaj rankiem na łąki,
Gdzie niezabudki rosną i dzwonki,
I narwę drobnych kwiatuszków roje,
Matkę Najświętszą niemi ustroję.

Matce Najświętszej pod drobne nogi,
Dar mój z kwiatuszków złożę ubogi,
I prosić będę o wszystko szczerze,
Za wszystkich swoich zmówię pacierze.

Za mych rodziców, za nianię moją,
Za drobne ptaszki, co się mnie boją,
Za domek biały, nawet za Burka,
Co to naszego strzeże podwórka.

Poproszę Boga, niech z każdą wiosną
Nasze kwiatuszki pięknie urosną,
Niech je co wieczór odświeża rosa,
Niech gwiazdki zawsze zdobią niebiosa.

O TĘCZY.

Nieraz po deszczu, gdy słońce wyjrzy z poza chmur, widzimy na niebie śliczne kolorowe półkole, każdemu znane pod nazwą tęczy. Każdy widział to śliczne zjawisko, lecz nie każdemu zapewne wiadomo, że pochodzi ono od światła słonecznego, odbitego w kroplach deszczu. Tęcza zawsze się ukazuje w przeciwnej od słońca stronie — więc z rana bywa na zachodzie, a wieczorem na wschodzie.

Jakim sposobem powstaje ta śliczna kolorowa wstęga, postaram się to w krótkości wytłumaczyć.

Chociaż promień światła słonecznego wydaje się nam białym, jednak w rzeczywistości składa się on aż z siedmiu rozmaitych kolorów. Przekonać się o tem bardzo łatwo: popatrzmy na świat przez szlifowany korek od karafki, lub inne również szlifowane szkło, a zobaczymy, że wszystkie przedmioty są zabarwione na siedem kolorów:

czerwony, pomarańczowy, żółty, zielony, błękitny, granatowy i nakoniec fioletowy.

Idąc wczesnym rankiem, gdy jeszcze rośliny pokryte ą rosą, przez pole, a słońce jasno świeci — widzimy co chwila, jak kropelki rosy błyskają najrozmaitszemi kolorami. Jest tu ta sama przyczyna co i w pierwszym wypadku: światło słoneczne odbijając się w szkle lub drobniutkich kropelkach rosy rozchodzi się na rozmaite kolory i zawsze w jednym i tym samym porządku — pierwszy czerwony i ostatni fioletowy.

Doskonale możemy naśladować tęczę, gdy w słoneczny dzień, stanąwszy tyłem do słońca, będziemy pryskać wodą, jak robią praczki, przy prasowaniu bielizny. Zobaczymy wówczas najwyraźniej w drobniutkich kropelkach wody prześliczne półkole, składające się ze wszystkich wyżej wymienionych kolorów.

To samo najzupełniej dzieje się z tęczą: ukazuje się ona zwykle w chwili, gdy chmury i deszcz poszły sobie dalej, słońce wysunęło się z poza obłoków, a gdzieś daleko na horyzoncie, w stronie przeciwnej od słońca, pada deszcz. Krople deszczu zastępują tu dropniutkie kropelki, któreśmy rozpryskiwali z ust, i białe światło słoneczne, odbijając się w nich, rozkłada się na te prześliczne barwy, które widzimy w tęczy.

Tęczy nigdy nie widzimy w południe, kiedy słońce jest wysoko nad nami. Dlaczego? Bo wówczas, nawet gdy deszcz pada daleko od nas, słońce jest wyżej od niego, ponad chmurami, i promienie przełamanego (rozłożonego) w kroplach światła nie dochodzą do nas, a mogą być widziane tylko z gory; gdybyśmy mogli zająć miejsce pomiędzy spadającemi kroplami a słońcem, więc gdzieś wysoko w powietrzu — naprzykład w balonie — dopiero byśmy zobaczyli to śliczne zjawisko, jakiem jest tęcza.

Szanuj zdrowie lube dziecię,
Bo to skarb największy w świecie.

Do polskich dzieci.

Zanim z chłopięcia rycerz urośnie,
Co da Ojczyźnie swe siły,
Niech drobne chłopię w chwil swoich wiośnie
Kocha nad wszystko kraj miły.

Zanim z dzieweczki jak z pęka kwiecie
Rozkwitnie polska dziewica,
Niech drobne dziewczę nad wszystko w świecie
Mianem się Polki zaszczyca.

Wczas się do lotu porywa ptaszę,
Piórkami bijąc słabemi,
Tak wy, o dziatki, ptaszęta nasze,
Rwijcie się służyć swej ziemi!...

Dzielny Kruczek.

Daleko stąd na południu Polski ciągną się góry zwane Tatrami. Wierzchołki ich są nagie, skaliste, zbocza pokryte świerkowym lasem i rozległemi łąkami. Łąki te zwą się hale, na nich to przez całe lato pasą się owce i krowy. Na zimę górale spędzają bydło do swych zagród, rozrzuconych na podhalu wśród małych nędznych zagonków roli.

W jednej takiej górskiej wiosce, w małym domku, mieszkała biedna góralka Walentowa, z córką Kasią i psem Krukiem. Oprócz Kruczka miała Walentowa tylko dwie owce i czubatą kurkę.

Małe to było gospodarstwo, musiała się jednak góralka bardzo napracować, aby to wszystko wyżywić, Kasię jako tako przyodziać i izbę ogrzać.

— Ko — ko — ko!... dopominała się kurka ziarna.

— Mee!... bee!... odzewały się owce, stojące przy pustym żłobku.

— Hau! hau! — przypominał o siebie Kruczek.

— Mamo, chleba! piszczała mała Kasia.

Taka to muzyka budziła Walentową co ranka.

Zrywała się więc kobieta co tchu z pościeli, nastawiała ziemniaki i obdzielała nimi Kasię, kruczka i czubatkę, a owczom rzucała do sionka wiązki siana. Potem kładła wysokie buty, okręcała się w chustkę i szła do Zakopanego, gdzie pracowała w fabryce koronek.

Był mroźny dzień styczniowy. Głębokie śniegi leżały na górach. Przykryły one też pola, chatę Walentowej i rosnące przy chacie świerki.

Góralka oddawna już poszła do fabryki. Mała Kasia bawiła się w izbie z czubatką, a uwiązany u płotu Kruczek poszczekiwał na skaczące obok wróble.

Nagle w górach rozległ się głuchy huk. Zadrżała ziemia. Ach, to ze zbocza skały oderwał się olbrzymi kawał śniegu i tocząc się w dół z wielkiej wysokości, druzgotał po drodze drzewa i krzaki. Co raz bliżej jest wioski... coraz szybciej pędzi, wreszcie ze strasznym łoskotem runął na pola, rozbijając się w puch srebrzysty. Gruba warstwa śniegu przysypała Kruczka, pozbawiając go przytomności. Po chwili piesek ocknął się z omdlenia i wygrzebał z pod śniegu.

Ach, jakiż smutny widok przedstawił się teraz jego zdumionym oczom. Świerki leżały pogruchotane, zapadła się chata Walentowej pod śnieżną lawiną, puszysty, biały śnieg leżał dokoła grubą warstwą.

— Kasia jest tam! — przemknęło Kruczkowi, i pies szarpnął się tak mocno, że pękł stary zardzewiały łańcuszek.

Kilku susami dotarł do chałupy i zaczął ją okrążać. W jednem miejscu zatrzymał się. Tu był najcieńszy pokład śniegu. Kruczek zaczął przedniemi łapami śnieg odgrzebywać.

Ciężka to była praca, to też wkrótce biedny pies pokrył się pianą, a z piersi wydobywał mu się świszczący oddech. Po długich trudach dotarł wreszcie do małego okienka, zapchanego wiązką słomy. Już niedaleko do wnętrza izby, już nawet zdawało się Kruczkowi, że słyszy żałosny płacz Kasi — i to mu nowych sił dodało. Wyrwał z okienka słomę zębami i przez zrobiony tym sposobem otwór wsunął się do wnętrza izby, zasypanej w połowie

śniegiem i deskami zapadniętego dachu. Hau — Hau!.. — zaszczekał Kruczek, próżno siląc się dojrzeć wśród ciemności.

Wtem zdało mu się, że słysze lekki szelest w kącie izby.

— To Kasia — pomyślał Kruczek i zaczął się między połamanemi sprzętami przedostować do miejsca, skąd go ów szmer dochodził.

Istotnie była to Kasia. Siedziała na podłodze skulona, drżąca, zasypana do połowy śniegiem; jeszcze kilka chwil, a dziecko zmrazłoby na śmierć.

Ale teraz Kasia będzie żyła, bo jest koło niej Kruczek. Mądry pies, przeczuwając, co dziewczynce grozi, zaczął lizać jej twarz i ręce, a potem położył się na jej kolanacch, rozgrzewając skotniałe członki dzieciny puszystym futrem.

Wkrótce potem nadbiegli ze wsi górale i odkopali chatę Walentowej, Wynieśli z nie wyratowaną przez Kruczka Kasię i oddali przerażonej matce. Wyprowadzono też owieczki, które szczęśliwie ocalały, nie znaleziono tylko Czubatki.

Od tej chwili Walentowa i mała Kasia jeszcze bardziej kochały i pieściły dzielnego Kruczka.

Pawełek i żydziak.

Pawełek, syn rzemieślnika z małego miasteczka, chodził na naukę religii do księdza. Gdy pewnego razu wyszedł z kościoła, spotkał na rynku znajomego żydziaka i chciał sobie z niego zażartować, powiada więc:

— Jeżeli mi, Abramku, powiesz, gdzie jest Bóg? to ci kupię pomarańczę.

Żydziak, nie namyślając się długo, odpowiada:

— A jak ty mnie, Pawełku, powiesz gdzie Pana Boga niema? to ja tobie kupię dwie [illegible]